



...„co się komu w duszy gra”...

„Wesele” w telewizji; tysiące widzów ze zrozumiałym zainteresowaniem oczekiwały tego spektaklu i to chyba ze zwykłej ludzkiej potrzeby serca. Wszystko tu związane jest tak silnie z naszym sposobem odczuwania, z naszą wyobraźnią i naszą narodową tradycją. Tą, w której wyrosliśmy i która ma swój ciąg dalszy w naszej współczesności.

„Wesele”. Ilekroć spotykamy się z tą pozycją w lekturze i w teatrze, zwykle dostarcza nam ona nowych przeżyć, jest okazją do konfrontacji sądów, do odkrywania czegoś na nowo, inaczej niż dotąd. Gotowiliśmy się klócić z każdym kolejnym realizatorem scenicznej wizji „Wesela” nie tylko o to, jak wyważył poszczególne sceny i sekwencję dramatu, jak zbilansował sumę wiedzy o Polsce roku 1900, jaką zawarł tu Wyspiański, ale także i o to, czy ten dzisiejszy kształt „Wesela” współgra z naszymi myślami i doznaniem.

Lidia Zamkow inscenizowała przed kilku laty „Wesele” w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie odnosząc duży sukces. Podkreślano w recenzjach, że owo „Wesele” niosło w sobie ważne treści polityczne. Zamkow odrzucając fantastykę „Wesela” radykalnie zerwała z dotychczasową tradycją przedstawiania tzw. osób dramatu, eliminując ich udział w spektaklu; ich słowa, i myśli przedała osobom materialnie uczestniczącym w bronowickim weselu. Całości nadała ton ostry, daleki od dotąd obowiązującej płynności, barwnej malowanki, jaką bywało „Wesele”.

Czy wszystko to, co na scenie bywa cenne, nowatorskie, potrzebne — sprawdza się zawsze w TV? I czy sprawdzić się może? Próba przeniesienia cennej inscenizacji okazała się raczej niemożliwa. Dlaczego? Z kilku, jak się wydaje, ważkich powodów. Polityczny wywód Zamkow — owo dochodzenie przyczyn zbiorowej niemożności, analiza układów odniesienia, inteligencja — lud, zaciera się na małym ekranie poprzez fakt, że skupiamy uwagę na małych sekwencjach dramatu, na jego czasem mniej ważnych scenach, a takie pokazuje nam co chwila kamera. Rozproszenie uwagi nie zezwala nam na klarowne odczytanie zamysłu Zamkow — także i w owym przemieszczeniu znaczeń, w identyfikacji scenicznych postaci z osobami dramatu. Zamiast wyostrenia jesteśmy świadkami zacierania siły, wyrazu, powagi — a zresztą, czy doprawdy wszyscy widzowie TV potrafią „z pamięci” wyodrębnić słowa Szeli i Dziada, czy muszą to czynić na własny rachunek?

Telewizyjne „Wesele” trwało ponad dwie i pół godziny — to także jego widoczna, odczuwalna, męcząca wada. Frazy wiersza nie płynęły harmonijnie, być może, leżało to także w zamysłu Zamkow, by nadać im inny, odmienny, chropowaty rytm — w tym jednak wypadku zdawało się to skazą.

Przyjmując ten spektakl, niewątpliwie znaczący z tzw. mieszanymi uczuciami chciałoby się wszcząć dyskusję na temat upowszechnionej roli i zadań naszego Teatru TV. Nowatorstwo formalne — ależ oczywiście, ale takie, które mimo wszystko nie stoi w sprzeczności z możliwością powszechnego odbioru. Jeżeli pierwsze sceny z „Wesela” (także i ostatnie!) w inscenizacji Zamkow wydawały się nam chyba wszystkim ciekawe, choć inne niż dotychczas, to wiele następnych wywołało u jednych zdumienie, u innych może zachwyt, ale dla wielu były chyba całkowicie obce i niezrozumiałe. A to już błąd.

I aktorsko było również to „Wesele” bardzo nierówne. Niestety brak miejsca nie pozwala na szersze omówienie aktorskich potknięć i sukcesów. (mk)